ROK TRZECI.

№ 10.

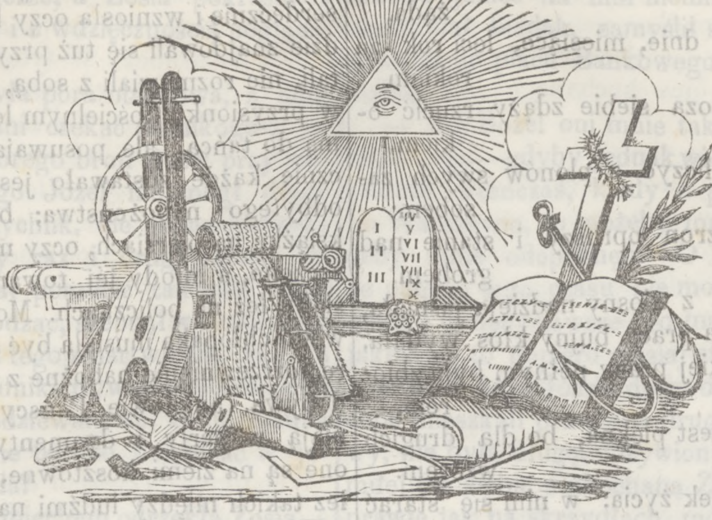
Warszawa.

Dnia 23 lutego (7 marca).

1858.

Niedziela

3ga Postu.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*" (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Wszechmocny Boże, wejrzyj na śluby pokornych, a ku pomocy i obronie naszéj, prawicę Majestatu Twego racz wyciągnąć. (Kollekta na Niedzielę trzecią postu, czyli Głuchą).

Cztery pory roku.

Już porannej nam piosenki skrowronek nie śpiewa,
Coraz smutniej, coraz więcej żółknieją już drzewa,
Liść za liściem wiatr otrząsa, już i kwiaty bledsze,
Nawet trawy mniéj zielone i coraz to rzedsze;
Bo już ziemia dawno zdjęła ozdoby wiosenne,
Już schowała stroje letnie, tak w blaski promienne;
I dziś cała tak wygląda, by w żałobie wdowa,
Co z przeszłości żal bolesny w głębi serca chowa.
Bo przeczuwa, że ją wkrótce zimy szron ubieli,
Ni ją rankiem chór skowronków pieśnią rozweseli,
Ni w noc jasną śpiew słowików do snu ją ułoży;
Mniéj już nad nią niebo płonie w porankowej zorzy,
Krótszy dzień ją rozwesela, dłużej noc ją kryje,
Już jak w wiośnie nie wesoła, ni jak w lecie żyje;
Całkiem zmienne, bo jesienne suknie już przywdziała,
Rachuje się sama z sobą, co jej wiosna dała —
I oblicza się sumiennie, co jéj latem wzrosło,
Jaką korzyść wśród jesieni życie jej przyniosło.
Tak i człowiek, gdy nie robił wpośród wiosny żywo,
Kiedy latem każdą pracę pozbywał leniwo,
To mu jesień wielkich zbiorów pewnie nie przysporzy,
Ale smutkiem i zgryzotą serce mu obłoży.
Oj! bo wiosną trza pracować, wiosną posiać ziarno,
To nam latem kłosy wzrosną, z nich się plony zgarną;
I gdy pracy dołożymy w tej dwoistej porze,
To w jesieni będziem mieli odzienie i zboże.
Pan czy chłopek, niechaj w pracy nie poskąpi siły,
Aby zbiory mu jesienne w zimie wystarczyły.
Wiosna, lato, jesień, zima, wszakże bracia wiecie,
Że tak samo i nam życie upływa na świecie,
Że z pór czterech jest zwierciadło, w niem się człek przegląda,

I z ostatniej znów do pierwszej często wrócić żąda,
Lecz mkną szybko dnie, miesiące, leci rok za rokiem
Zanim człowiek poza siebie zdąży rzucić okiem,
I nim zdoła się obliczyć z plonów swych zasobem;
Przyjdzie zima, szron opruszy i stanie nad grobem.
Błogo temu, co mu z wiosny nadzieja jaśniała,
Komu w lato ciężka praca bujny kłos wydała,
Komu jesień z ciężkiej pracy pełnym była zbiorem,
Jeszcze zima dlań jest piękna, bo dla drugich wzorem.
Wiosna, to jak ranek życia: w nim się starać trzeba,
Aby latem w wiek dojrzały mieć własny kęs chleba,
By w jesieni, gdy człek starszy, żyć swej pracy darem,
I by w zimie zgrzybiałemu nie stać się ciężarem.

Powiastki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

XI.

Lat temu kilka, na początku października, zegary warszawskie już dawno dwunastą godzinę przedzwoniły. Po kościołach nabożeństwo już się pokończyło, a że to była niedziela, więc lud pobożny, niby rzeka jaka wypływał ze Świątyń Pańskich, i maczając palce w święconej wodzie, znaczył nią krzyżem Świętym czoło, usta i piersi, aby przez cały tydzień ani myślami, ani mową, ani sercem nie zgrzeszyć. Żebractwo w różne głosy prosiło o jałmużnę; na wyciągnięte ręce sypały się groszaki, a każdy razem z datkiem prosił o modlitwę, albo za duszę bliskich swoich krewnych, albo o spełnienie jakiego życzenia, lub odwrócenie grożącego nieszczęścia. Pomiędzy licznym tłumem wychodzących, znajdowała się także i pani Rychlik, żona introligatora przy ulicy Freta—była to kobieta w średnim wieku. Wychodząc z kościoła księży Paulinów, obejrzała się poza siebie, a zobaczywszy idącą córkę Zosię i przy niej dorodnego młodzieńca, prostego jak świeca, a rumianego i miłego jak czerwone jabłuszko, westchnęła serdecznie i wzniosła oczy ku niebu. Młodzi ludzie znajdowali się tuż przy sobie, ale nie szeptali, nie rozmawiali z sobą, jak to wielu robi, co w przysionku kościelnym ledwo że się nie wezmą do tańca, ale posuwając się zwolna, widocznie każde zostawało jeszcze pod wpływem odbytego nabożeństwa; bo Zosia trzymając książkę na piersiach, oczy miała skromnie spuszczone, a młody jéj towarzysz Józef Zuzelski ślady łez na policzkach. Modlitwa więc poczciwego chłopaka musiała być szczera, łzy zaś, które rozrzewnienie nabożne z serca ludzkiego wydobywa, aniołowie Pańscy zbierając, przemieniają w perły i dyamenty; i dlatego to tak one są na ziemi kosztowne, bo jakżeż to mało łez takich między ludźmi na świecie!

Ale młody Józef miał o co tak się gorąco modlić, bo dziś właśnie dowiedział się, że za dwa tygodnie będzie wyzwolony na czeladnika stolarskiego, i dziś zaraz z tą wieścią przybiegłszy do państwa Rychlik, upadł im do nóg, prosząc o Zosię i o błogosławieństwo. Ze zaś młody Zuzelski był bardzo poczciwym i pracowitym chłopakiem, że państwo Rychlik wiedzieli, iż dając mu Zosię, choć biednemu i do tego sierocie, ale powierzają skarb swój najdroższy w ręce zacne, co i chwili nie zmitrężą na hultajstwie i bałamuctwie, że przez to przy poczciwem swem sercu, bojaźni Bożej, da ich dziecku prawdziwe szczęście, bo spokój domowy i zadowolenie wewnętrzne; nie zwlekali, więc z odpowiedzią, lecz ucałowawszy młodego Józefa, pobłogosławili młodą parę i razem już z przyszłym swym zięciem poszli do kościoła. Wcześniej jednak przed innymi Rychlik wysunął się na miasto za interesami, dlatego sama tylko matka przewodniczyła jedynemu swemu dziecku.

Kiedy Zosia już miała schodzić po schodach kamiennych w stronę ulicy Freta, wyjęła z kieszonki trojaka, i kładąc go na dłoni jakiegoś biednego staruszka, rzekła z dobrocią:

— Mój staruszku, zmówcie też na intencyą moję choć jeden paciorek do Opatrzności Boskiéj.

Za Zosią przysunął się i Józef, także biednego dziadka obdarzył jałmużną, mówiąc:

— Proście mój dziadku Boga i Najświętszej Panny o szczęście i błogosławieństwo dla Zofii i Józefa.

— Panie Boże! wielki zapłać, odrzekł dziadek

i zaczął szeptać pacierze, a Zosia pokraśniała jak wiśnia, z czuciem i z wdzięcznością poglądając na narzeczonego.

Ponieważ to już była pora obiadowa, a majster Józefa nie lubił ani czekać na nikogo z jedzeniem, ani żeby którego broń Boże! przy stole brakowało, dlatego Józef nie mógł długo zabawić u państwa Rychlik, ale pogawędziwszy troszkę, ucałowawszy raz i drugi rączkę ładniutkiej Zosi, musiał porzucić tak miłe sobie miejsce, i tylko odchodząc, szepnął w uszko Zosi:

— Niedługo to już tego zmartwienia, za dwa tygodnie zostaję czeladnikiem, więc stołowanie do was przeniosę, i spodziewam się, że mi panna Zofia starać się będzie bardzo dogadzać w jedzeniu—wszak prawda?

— Nie wiem, z uśmiechem odrzekła Zosia— do widzenia. Po południu proszę przyjść, to pójdziemy na spacer, bo podobno mieliśmy od pana Zuzelskiego przyrzeczenie...

— Tak, tak, przyjdę, odrzekł wesoło młodzian. Pójdziemy do ogrodu na Czyste.

W pół godziny potem przy ulicy Elektoralnéj Józef siedział przy stole razem ze swymi majstrami, a gdy obiad się skończył, każdy krótką w myśli modlitwą podziękował za dary Boże; dzieciaki obcierając buzie, całowały w ręce rodziców, to samo zrobił Józef i przysunąwszy się potem do majstra, prosił go nieśmiało o pozwolenie udania się z państwem Rychlik na przechadzkę do ogrodu na Czyste.

— Jakto, opuszczasz nas, odezwała się majstrowa, a ja myślałam, że Józio z nami pójdzie.

— Moje dziecko, odrzekł na to majster, Józio za dwa tygodnie zostanie czeladnikiem, będzie więc już panem Józefem; musimy się zatem odzwyczajać od rządzenia nim jak własnem dzieckiem. Przytem wiem, że Rychlikowie mają bardzo miłą i dobrą córeczkę, do której nasz Józio stroi koperczaki; więc milsze mu z nimi jak z nami towarzystwo. Idź więc, idź, gdzie cię ciągnie serce, ale jednak z małżeństwem nie spiesz się; wprzód się wyucz dobrze rzemiosła, zostań majstrem, żebyś mógł sam na siebie warsztat założyć, a potem dopiero pomyśl o żonie i gospodarstwie....

— Ja też się nie spieszę, odrzekł nieśmiało Józef i dopiero w zapusty ma się odbyć nasze wesele.

Rozmowa tą choć tak pełna uczucia rodzicielskiej troskliwości, zamiast ucieszyć Józefa, zrobiła jakieś na nim niemiłe wrażenie. Spochmurniał biedak, zamyślił się, i idąc tak, gdy doszedł do placu Bankowego, szepnął sam do siebie:

— Mój Boże! oni mnie tak kochają jak syna rodzonego—gdyby jednak wiedzieli, co zrobiłem jeszcze wtenczas, kiedy z piaskiem chodziłem po Warszawie, to możeby mną pogardzili, możeby mnie odepchnęli. O Boże, Boże! jakże pamięć tego czasu nie może mnie opuścić; w dzień i w nocy zawsze go mam przed oczami, jakby się to dopiero dzisiaj stało.

Dla młodego Józefa droga do państwa Rychlik, choć mieszkali prawie na drugim końcu Warszawy, nie była długą. Ożywiony bowiem nadzieją miłej dla siebie z ukochaną Zosią zabawy, biegł prawie jak na skrzydłach, mówiąc w myśli sam do siebie:

— Pan Rychlik, to mój dobroczyńca, mój ojciec; gdyby nie on, to Bóg wie, coby się ze mną stało. On już w wieku, odwlekać wesela nie można, bo tylko dając szczęście jego dziecku, wywdzięczę się za to dobre, co zrobił niegdyś dla mnie niepoczciwego i nieznanego sobie chłopca.

W kilka minut Józef już był przy klamce od drzwi mieszkania Rychlików, i jakby złem jakiem przeczuciem wiedziony, zatrzymał się chwilkę, bo mu serce zadrżało i jakaś dziwna obawa do duszy wstąpiła. Stojąc, przyłożył ucho do drzwi i nadsłuchał. W pomieszkaniu słychać było jakiś ruch niezwykły, na kominie trzaskał płomień palącego się drzewa, i zdało mu się, że słyszał jakby przytłumiony płacz Zosi.

Pocichutku więc wszedł do stancyi, gdzie zaraz go uderzył widok leżącego na łóżku Rychlika; przy nim stał felczer po puszczeniu krwi obwiązujący mu rękę, matka krzątała się po pokoju, a Zosia z płaczem przy kominie gotowała jakieś ziółka. Józef wspomniawszy sobie umówioną zabawę i że dawniej witano go zawsze z radością i z uśmiechem wesela na ustach, a dziś z płaczem i boleścią, załamał rozpaczliwie ręce i zapytał drżącym głosem:

— Panno Zofio, co to ojciec chory?

— Zachorował bardzo niebezpiecznie, odrzekła z płaczem Zosia. Dziś rano poszedł do księgarza, u którego należało mu się za robotę blisko trzysta złotych i dowiedział się, że tenże zbankrutował. Zarobek więc cały przepadł, czem ojczysko kochany, pomyślawszy sobie zapewne,

że miał nim zapłacić pomieszkanie i porobić inne na dom wydatki, tak się zmartwił, że jak przyszedł do domu, padł na ziemię jak nieżywy; i żeby nie prędka pomoc doktora, niezawodnie jużbyśmy naszego ojca kochanego nie mieli między sobą.

— Ale jakże się ma teraz?

— Lepiej, bo usnął właśnie w téj chwili i doktor powiada, że aby tylko mógł mieć spokojność, to ręczy za jego życie. Ale jakżeż tu myśleć o spokojności, kiedy ojciec ciągle myśli o swéj stracie, i jestem pewna, że jak tylko się obudzi, zaraz zacznie narzekać.

Józef odetchnął swobodniej, nadzieja wstąpiła w serce.

Nie odszedłszy więc, zaczął pomagać matce i córce w zatrudnieniu domowem, a gdy chory otworzył oczy i z boleścią westchnąwszy odezwał się:

— O! mój Boże, tyle pracy i tak zmarnowanéj!—a czemże teraz zapłacę pomieszkanie, czem za materyały introligatorskie, które dostawałem w kredycie? Cóż ja pocznę teraz?

Nie martw się ojcze, odezwał się na to Józef, całując starca w rękę i przyklękając przy jego łożu; ja pojdę do księgarza, opowiem mu wszystko, to może jako zaradzi, bo to poczciwy człowiek. W każdym zaś razie bądź ojcze spokojny; troszkę się pożyczy, nie u majstra mego, to u kogo innego, właściciel kamienicy poczeka, w składzie papieru także poczekają i jakoś się wszystko załata. Tylko ojcze nie martw się, bo zdrowie pierwsze jak wszystko, a Bóg miłosierny choć zmartwi, ale i pocieszy, i będzie znowu wszystko dobrze.

Chory nic na to nie odrzekł, tylko przycisnął głowę poczciwego chłopca do piersi, westchnął i przymknął oczy, szepcząc pocichu słowa modlitwy do Tego, bez którego woli i włos z głowy człowieka nie spada, i który opieką Swą każde, choćby najmniejsze stworzenie otacza.

Słowa Józefa, co wlały nadzieję w chorego i pokrzepiły w nim upadającego ducha, rzeczywiście wieszczem wymówione były przeczuciem, bo na drugi dzień zjawił się jeden z Zakonników księży Dominikanów i pogadawszy z Rychlikami o dopuszczeniach różnych Boga na ludzi, o Jego wielkiem miłosierdziu, i jak człowiek nigdy nie powinien tracić nadziei, ale ufać i pracować, wyjął woreczek z pieniędzmi i oddając go choremu rzekł:

— O twojej stracie panie Rychlik zaraz wczoraj do wiedziała się jedna bardzo zacna i poczciwa osoba i uprosiła mnie, abym wam przyniósł od niéj podarunek. W tym woreczku jest trzysta złotych, weźcie to, jako waszą własność i używajcie z Bogiem. Kto zaś dał, nie pytajcie się daremnie, bo osoby téj już niema w Warszawie, a ja znowu przyrzekłem, że nazwiska jéj nie wydam. Chcielibyście więc, nie chcieli, wziąć to musicie, bo ja także pieniędzy tych przyjąć nie mogę, i taka jest wyraźna wola osoby, która was przeze mnie ratuje.

Rychlikowie z początku troszkę się wzdragali, ale widząc zakonnika niewzruszonym, ze łzami przyjęli ten datek miłosierdzia, dziękując Bogu, że ich w takiem nieszczęściu poratował.

Wieczorem przyszedł Józef, a dowiedziawszy się o radości, jaka biednych Rychlików spotkała, nie mógł się dosyć nacieszyć; raz poraz przyszłego swego teścia całował po rękach, po nogach, że aż starowina z rozczulenia rozpłakał się, a Zosia zrobiła uwagę, żeby w uniesieniu swej radości był cokolwiek uważniejszy, bo może tem równie ojcu jak zbytkiem zmartwienia zaszkodzić.

Wszystko jadnak ma swój koniec na świecie — tak też i radość u Rychlików w ogromny zamieniła się smutek; bo około Nowego roku majster stolarski, u którego był Józef, spotkawszy się razu pewnego z Rychlikiem, oświadczył mu, że zobaczywszy, iż Józef od pewnego czasu strasznie się odmienił, posmutniał, zaczął go więc badać i dowiadywać się, zwłaszcza, że wprzód tylko dzień i noc myślał o swoich wyzwolinach na czeladnika, teraz zupełnie o tem nawet nie wspominał. Po długich przedstawieniach wyznał, mówił stolarz, że pieniądze, które zbierał w Kasie oszczędności, już dawno odebrał, i że z nich nie ma ani grosza.

— Ani grosza? z zadziwieniem zapytał Rychlik, a i gdzież ich podział, boć miał podobno coś uzbieranych dwieście złotych?

— Nie wiem mój panie, z pewną niecierpliwością odrzekł na to majster—prosiłem, błagałem, ale to uparty jak kozieł; ani słówka z niego nie mogłem wydobyć, tylko, że ich nie ma, i że teraz nie ma się za co wyzwalać.

— Pewno przegrał w karty.

— A! być może, odrzekł majster; ale mój panie Rychlik, ktoby to się spodziewał, żeby taki porządny, poczciwy chłopiec mógł zostać ta-

kim szaławiłą, i to jeszcze wtenczas, kiedy już ma się wyzwolić na czeladnika?

— Oj! prawda mój panie majster, a ja mu chciałem dać jedyne moje dziecko; dopiero w piękneby się dostała ręce!

Majstrowie pokiwawszy głowami, nażaliwszy się jeszcze nad szałapuctwem i nierozwagą dzisiejszéj niektórej młodzieży, którzy jedną chwilą błędu biedę nieraz kupują na całe życie, rozeszli się do domów. Rychlik wiadomością swą ogromnego zmartwienia narobił w domu: Zosia słuchając opowiadania, to bladła, to czerwieniła się, serce tak jéj żywo biło, a gdy ojciec skończył, klasnęła w rączki i zawołała: to potwarz ojcze kochany, ja temu nie wierzę, bo ja znam dobrze Józefa, onby nawet nie umiał nic podobnego zrobić.

Kiedy nadszedł wieczór i godzina, w któréj Józef zwykle przychodził do swéj narzeczonéj, na wszystkich malowała się niecierpliwość oczekiwania, i przekonania się z ust samego Józefa, o ile wieść, tak dla niego niekorzystna, ma w sobie prawdy, a o ile fałszu. Nareszcie poraz dwudziesty może drzwi się otworzyły; wszedł Józef blady jak ściana, i niezwykle nieśmiały. Dowiedział się on bowiem o rozmowie majstra z Rychlikiem, a więc wiedział, że położenie jego dla osób najbardziéj przez niego ukochanych, przestało być tajemnicą. Wszyscy spojrzeli na niego w milczeniu, nikt nie wyciągnął ręki na powitanie, jak to zwykle zawsze dawniéj było robione; Zosia zbladła jak chusta; i po chwili niemej z samą sobą walki, przystąpiła do stojącego na środku Józefa, a biorąc go za rękę, rzekła głosem przytłumionego łkania:

— Panie Józefie, czy to prawda, że pieniądze od lat kilku zbierane w Kasie oszczędności, odebrałeś, i że z nich nie masz już ani grosza? Powiedz szczerze, jak uczciwy człowiek, czy to prawda?

Józef spojrzał z boleścią po wszystkich, na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu, co tak widać biedak cierpiał w duszy, obtarł je ręką, i ciężko wzdychając, odrzekł cichym, przytłumionym głosem:

— Prawda, panno Zofio, prawda — odebrałem, i już z pieniędzy tych nie mam ani grosza; ale ja podwoję pracę i oszczędność, to znowu uzbieram.

— Dobrze to wszystko panie Józefie, przerwał z powagą Rychlik, ale nie weźmiesz mi za złe, że ci powiem, iż temu nie wierzę; bo kto tyle pieniędzy naraz jeden utracił, i tak wolno, tak krwawo zebranych, to...

— Ojcze! napół ze łzami odezwał się Józef, nie odpychaj mnie od swego serca; ja wiem, że się mogę zdawać winnym, ale gdybyś wiedział, com ucierpiał.

— Więc cóżeś zrobił z pieniędzmi?

Józef milczał.

— Czyś przegrał w karty — czyś rozhultaił na zabawę, na trunek?

Józef ciągle milczał.

— Więc nie powiesz nawet mnie?

— Ani mnie? dołożyła matka, a Zosia przystąpiła do samego Józefa i dodała, czule na niego poglądając:

— Ani mnie, panie Józefie?

Józef popatrzył wszystkim w oczy, najdłużéj zatrzymał wzrok na Zosi, i widać chciał coś odpowiedzieć, ale się wstrzymał, zakrył twarz rękoma, i z boleścią odrzekł:

— Nie, nie powiem nikomu, nawet tobie moja najdroższa, najukochańsza Zosiu!

— Kiedy tak, odezwał się ojciec, to proszę bardzo pana Józefa zupełnie przestać bywać w moim domu; bo człowiekowi, co ma takie tajemnice przed rodzicami swéj narzeczonéj ani myślę dziecka powierzać.

Do słów ojca przyłączyły swoje matka z Zosią; tak prosiły, tak błagały, że na biednego chłopca aż pręgi powystępowały na czole, skroniach i twarzy, aż się pocił, bladł i czerwieniał; ale wszystko to było daremne, bo choć cicho, ale znowu wymówił:

— Nie, nie mordujcie mnie, nie mogę powiedzieć. Wszystkim nanowo ręce opadły, każdy od upartego odwrócił się z niechęcią i Rychlik już miał wybuchnąć z największem oburzeniem, kiedy drzwi się uchyliły od sieni i wszedłszy niemi ten sam zakonnik, co to przyniósł trzysta złotych, odezwał się z powagą:

— Już teraz możesz powiedzieć poczciwy chłopcze; te bowiem pieniądze, co wam przyniosłem, były jego własnością, wziętą z Kassy oszczędności — dlaczego zaś zachowywał tak uporczywe milczenie, niech sam powie.

— Jakto chłopcze, to były twoje pieniądze? zapytał Rychlik, i ty nic o tem nie powiedziałeś?

Matka i Zosia z oczami pełnemi łez od wewnętrznego wzruszenia spojrzały na Józefa tulącego się do piersi ojca, a gdy pierwsze wraże-

nie minęło, Józef wezwany przez wszystkich do mówienia, zakrywając twarz rękoma, rzekł:

— Z wielką boleścią opowiem wam jak było, ale kiedy mój spowiednik pozwala i każe, muszę to zrobić, chociażbym rad, abym nawet o tem zapomniał. Otóż pamiętasz ojcze! tego chłopca, co to ci przy wyjściu z Saskiego ogrodu, lat temu sześć, wyciągnął chustkę z kieszeni?..

— Pamiętam, pamiętam.

— Co to go złapałeś za rękę i zamiast ukarania lub oddania na policyę, nagadałeś mu, co tylko może poczciwe serce, wystawiając wszystkie następstwa i nieszczęścia, jakie małych, a potem wielkich złodziei czekają...

— Pamiętam, pamiętam i cóż dalej:

— Otóż tym małym niegodziwcem, to jestem ja...

— Ty? zawołano ze wszystkich stron.

— Tak jest, ja—i gdyby nie ten wypadek, nie nauka szlachetna twoja kochany ojcze, możebym dziś gnił w kajdanach; a tak poprawiłem się, porzuciłem próżniactwo, wziąłem się do terminu i dowiedziawszy się o ojca pomieszkaniu, myślałem tylko o tem, jakby się wywdzięczyć. Bóg pozwolił poznać mi Zosię — to natchnęło mnie jeszcze większą chęcią pracy, zacząłem składać w Kasie oszczędności, a gdym się dowiedział o stracie, postanowiłem użyć własnych mych pieniędzy na pomoc dla ojca, bo dopiero pierwszy raz zdarzyła mi się sposobność okazania mej wdzięczności. Ksiądz spowiednik pomógł mi w tym względzie, a za karę nakazał tajemnicę i milczenie. Rozwiązał mi usta, więc wam wszystko wypowiedziałem.... wybaczcie więc... wybaczcie....

Co się dalej stało, łatwo się domyśléć; ściskań, całowań i płaczu nie brakło, a Zosia najwięcéj tryumfowała, prosząc tylko, aby tak upartym był ostatni raz w życiu. Gdy wzruszenie minęło i wszystko wróciło do dawnej harmonii, wówczas powstał zakonnik i rzekł:

— Kiedy was Bóg obdarzył taką radością, to pamiętajcie, że w całem tem zdarzeniu wiele się znajduje nauki dla człowieka. Naprzód ty panie Rychlik, ucz się, że nie należy nigdy w nieszczęściu rozpaczać, bo Bóg nad każdym czuwa i zawsze pocieszy—ty Józiu! i wszyscy pamiętajcie brzydzić się wszystkiem złem na świecie, bo sami widzicie, jak pamięć tego wiecznie tkwi w człowieku i ciągle go niepokoi—wszyscy zaś, że w każdym razie Bóg najlepiej radzi o swej czeladzi. Gdyby nie ten wypadek, nie wiedzielibyście, jak poczciwego dostajecie zięcia, i pospieszylibyście z weselem, co kto wie, czyby dobrem było. Młodzi bowiem są oboje, pocóż więc mają tak wczas przyjmować na siebie tyle ważne obowiązki? Rok czasu lub dwa, to nie wiek, a statek i doświadczenie szczególniej są potrzebne.

W zakończeniu powiem wam jeszcze, że pieniądze od księgarza odebrane zostały, mimo jednak tego z weselem wstrzymano się przez lat dwa, i rychtyk temu jest cztery lata, kiedy panna Zofia Rychlik została panią Zuzelską, i na weselu tak goście hulali i tańczyli, że przed oknami pełno stało ludzi, którzy gapiąc się, mówili między sobą:

— Jakaż to śliczna ta panna młoda, a pan młody taki jakiś miły, że trudno od niego ócz oderwać.

OPIS PRAKTYCZNY

rozwijania oprzędów jedwabniczych.

—

Każdy oprzęd jedwabnika (kokon) składa się z trzech wydatnych części: najprzód z niteczek jedwabnych, powikłanych w kształcie waty, ze wszystkich stron otaczających sam oprzęd, zwanych *odzierem* (filosella); podrugie z samego oprzędu, tojest jednéj niteczki jedwabnéj, nawiniętéj przez jedwabnika w postać jajeczka, złożonéj z włókien, mocno ze sobą zlepionych pewnym rodzajem kleistéj materyi, którą jedwabnik wraz z nitką przy snuciu z siebie wypuszcza; potrzecie z poczwarki, znajdującéj się wewnątrz oprzędu, a utworzonéj przez przemienioną gąsienicę, już po całkowitem wysnuciu z siebie nitki jedwabnéj.

Przy rozwijaniu głównie chodzi o to, aby całą nitkę, w tak zgrabny kształt usnutą przez jedwabnika, znalazłszy jéj początek, przewinąć na motek.

W tym więc celu, ażeby zapobiedz przedziurawieniu oprzędu, a tem samem przerwaniu nitki, przez wykluwającego się motyla, należy przedewszystkiem jego poczwarkę wewnątrz oprzędu umorzyć.

Wprawdzie oprzędy nieduszone, najlepiéj rozwijać się dają; jeżeli jednak ilość ich jest tak wielką, iż dłużéj jak dni 14 rozwijać je wypadnie, wtedy przystąpić należy do umorzenia, które jest jednem z najważniejszych działań sztuki jedwabnictwa, wymaga więc, aby było robione z jak największą starannością. Kilka jest sposobów umarzania poczwarek. I tak: można umarzać je w piecu; ale ten sposób jest bardzo niedogodny, gdyż trudno jest oznaczyć w nim potrzebny stopień ciepła.

Gdy się niedostatecznie ogrzeje, wkrótce wylęgają się motyle, należy wtenczas zachowane oprzędy powtórnie umarzać—jeżeli przeciwnie ogrzeje się za mocno, jedwab' jest często nadwerężony.

Wiele fabryk, a między niemi i zakład Warszawskiéj Spółki Jedwabiczéj, umarzają poczwarki, susząc je prędko za pomocą pędu gorącego powietrza; wprawnie dokonany sposób ten, daje oprzędy najlepiéj się rozwijające.

Użycie pary do duszenia jest takżeśrodkiem dobrym i łatwym, ale po umorzeniu poczwarek, oprzędy należy wysuszyć, gdyż wilgotne, w pokładzie przechowywane, uległyby zupełnemu zepsuciu.

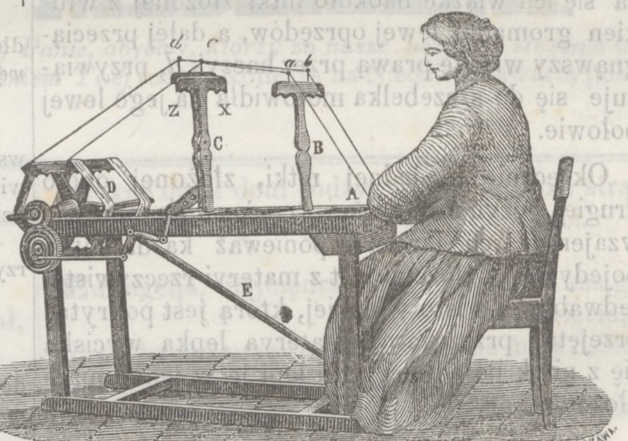
Dla osób mających małe ilości oprzędów do umarzania, poleca się sposób, który polega na tem, ażeby je kłaść w szczelnie zamknięte naczynia blaszane lub gliniane, i takowe zanurzać w wodę wrzącą; po czasie pół godzinnym poczwarki będą zaduszone. Dla przekonania się, czy te ostatnie zupełnie są umorzone, trzeba otworzyć kilka pierwszych lepszych oprzędów, dając pierwszeństwo dubeltowym, gdyż są gęstsze, a tem samem poczwarki w nich bardziej są ochronione od działania ciepła; otworzywszy takowe, dotknąć rozpalonem żelazem kilkarotnie: jeżeli one nie okazują żadnych poruszeń bedących oznaką życia, wtedy zupełna jest pewność, że umorzenie powiodło się doskonale.

Po umorzeniu i wysuszeniu (jeśli parą były duszone) oprzędów, trzeba przystąpić do ich przebierania.

Pomiędzy oprzędami zawsze znajdują się lepsze i gorsze; bywają albowiem słabe, wielkie, mniejsze, bardziéj lub mniéj twarde, bardziej lub mniéj ścisłe, a między białemi, mniej lub więcéj jasne; nakoniec zdarzają się oprzędy poplamione i dubeltowe, niezdatne do rozwijania. Wszystkie te gatunki jeden od drugiego oddzielone być powinny; zaczyna się od oderwania od oprzędów *odziera* i od zrobienia pierwszego wyboru, poczem robi się właściwe rozgatunkowanie.

Po dokonaniu tej czynności i oczyszczeniu oprzędów z odzieru, czyli pajęczyny jedwabnéj, w której się oprzęd znajduje, należy je zamoczyć w wodzie gorącéj. Temperatura wody zależeć będzie od oprzędów, jakie się mają rozwijać.

Oprzędy świeże, słabe i białe, jako delikatniejsze, wymagają mniej gorącéj wody, najwięcéj na + 60° R; oprzędy zaś starsze, żółte, lub bardzo ścisłe, do + 80° R. potrzebują. Tak zamoczone neleży od 3 do 5 minut w tej wodzie potrzymać, a późniéj końcem miotełki okrągłéj ze słomy ryżowéj, lekko naciskać. Oprzędy puszczą nitki, które się przyczepią do miotełki; należy nią wstrząsać dopóty, dopóki od oprzędów pojedyńcze tylko nitki ciągnąć się nie będą. Tak odmiękczone oprzędy, trzymając nitki od nich w ręku, wrzucają się do miednicy maszynki.



Maszynka najpraktyczniejsza do rozwijania oprzędów przeznaczona, jaką dołączony rysunek przedstawia, składa się z 4ch głównych części: *A* miedniczki blaszanéj, *B* przyrządu służącego do skrzyżowania nitek jedwabnych, a który stanowią dwa haczyki mosiężne *a* i *b*, obsadzone w nieruchoméj podstawie drewnianéj; *C* przyrządu rozkładającego jedwab' równo na całéj powierzchni motowidła, a utworzonego przez podobne poprzedniej podstawki drewniane, lecz z których jedna *z* jest ruchoma i przyszrubowana do drugiéj stałéj x, w taki sposób, że ruchem nadanym jéj przez mechanizm *E* (poruszany nogą) obracający motowidło, porusza się wahadłowo naprzemian w prawą i lewą stronę. W téj ruchoméj podstawce *z* osadzone są

dwa haczyki mosiężne *c* i *d* podobne do poprzednich; *D* nakoniec, jest motowidło złożone z 4ch szczebelków, na które nawija się nitką jedwabna.

Po wrzuceniu oprzędów, przyrządzonych jak wyżej wskazano, do miedniczki maszynki, napełnionej wodą ciepłą, od 30° do 40° R. mającą, zbiera się je we dwie kupki mieszczące w sobie po 5 lub więcéj oprzędów, stosownie do gatunku jedwabiu, jaki się rozwija. Nitki ciągnące się od pojedynczych oprzędów każdej z tych dwóch gromadek, stanowić mają jednę nitkę złożoną; w tym więc celu, przeciąga się włókno od kupki z lewej strony w miedniczce pływającej, przez haczyk *a*, następnie przez haczyk *c*, i dalej przywiązuje się tę nitkę złożoną do jednego ze szczebelków motowidła na jego prawej połowie.

To uczyniwszy, włókno ciągnące się z prawej kupki oprzędów, zebrane razem przeciąga się przez haczyk *b*, następnie kilkakrotnie okręca się ich wiązkę naokoło nitki złożonej z włókien gromadki lewej oprzędów, a daléj przeciągnąwszy wiązkę prawą przez haczyk *d*, przywiązuje się do szczebelka motowidła na jego lewej połowie.

Okręcanie to jednej nitki, złożonej około drugiej, czyli tak zwane *krzyżowanie*, sprawia wzajemne ich tarcie; a ponieważ każda nitka pojedyńcza, złożona jest z materyi rzeczywistej jedwabnej i z istoty lepkiej, którą jest pokryta i przejęta, przez tarcie materya lepka wyciska się z nitek pojedynczych i lepi je w jednę nitkę złożoną.

Gdyby to krzyżowanie, a tem samem tarcie nie miało miejsca, wtedy włókna pojedyncze nie pozlepiałyby się w jednę wiązkę, a w skutek tego nitka złożona nawinięta na motowidle łatwoby się rozczepiała na pojedyncze włókno i nie byłaby użyteczną do przerabiania na tkaniny.

Gdy już obie nitki złożone, są przywiązane do motowidła, rozwijaczka wprowadza w ruch obrotowy motowidło, poruszając nogą mechanizm *E*; to kręcąc się, ciągnie na siebie nitki i tym sposobem rozwija oprzędy w miedniczce zawarte.

Gdy jaki oprzęd od kupki na bok odpłynie, rozwijaczka w jego miejsce dołącza natychmiast nowy do kupki. Po nawinięciu dowolnej ilości jedwabiu na motowidło, to zdejmuje się z maszynki, a z niego ściągają się dwa pasma jedwabiu.

Jedwab' taki znany jest w handlu pod nazwiskiem *jedwabiu surowego*. Po rozwinięciu, wartość jedwabiu o tyle się zwiększa, że za 1 funt tegoż odpowiedni 12 funtów oprzędów, płacą do 65 złp., podczas, gdy 12 funtów oprzędów warte są tylko 48 złp.

Na podobnej maszynce wprawna rozwijaczka, rozwinąć dziennie może przeszło $1/_2$ funta jedwabiu. A jak łatwo wyuczyć się rozwijać, dają dowód rozwijaczki naszej Spółki Jedwabniczej, w niespełna dwa miesiące wyuczone.

Maszynki do rozwijania, podobne do wyżej opisanej, robione są u p. Lanckron, majstra ślusarskiego przy ulicy Niecałéj, na wzór tej, jaką Spółka Jedwabnicza sprowadziła z za granicy.

Od Redakcyi.

W terminie kwartalnym 1 lutego r. b. od różnych dłużników wpłynęło do kassy *Rzemieślniczo-pożyczkowéj*, Założycielki Czytelni Niedzielnej... rs. 120 kop. 66.

Prócz tego, z Kurjera Warszawskiego, za opłatę w miejsce powinszowań noworocznych, od 2ch osób . . . . rs. 15

od pana Ignacego N. na korzyść kassy otrzymano . . . rs. 50.

Razem było przychodu rs. 185 kop. 66.

Summa ta rozdaną została na nowe pożyczki, do zwrotu w ciągu roku, kwartalnemi ratami, a mianowicie:

1. Maryi Przezdzieckiéj szewcowéj pod nrem 2777 rs. 22 kop. 50.
2. Ludwikowi Nawrockiemu stolarzowi pod nrem 1624j5 rs. 37 kop. 50.
3. Antoniemu Wiśniewskiemu introligatorowi pod nrem 592 rs. 45.
4. Tomaszowi Zakrzewskiemu kołodziejowi pod nrem 1086 rs. 20.
5. Tomaszowi Saniewskiemu ogrodnikowi pod nrem 386 rs. 30.
6. Tekli Kassowskiéj zpod nru 505, żonie stolarza z fabryki Ewansa, na kupno sklepiku rs. 30 kop. 66.

Razem wynano rs. 185 kop. 66.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 17 lutego (1 marca) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.